

„Mówta, co chceta”

Jeszcze na rok przed „Okragłym Stołem” Uniwersytet Warszawski opublikował kolejny, bodajże 16. tom „Studia Iuridica”, najsłynniejszego w PRL-u specjalisty od prawa karnego, prof. Igora Andrejewa. Ta seria wydawnicza miała „uczcić dorobek naukowy profesora”. Przez dziesiątki lat na jego podręczniku „Prawo karne” uczyły się kolejne roczniki studentów wydziałów prawa, a wśród jego wychowanków znalazło się wielu późniejszych znanych profesorów. Igor Andrejew uważany był za wybitnego naukowca, wykładowcę. Był członkiem wielu prawniczych korporacji i międzynarodowych stowarzyszeń prawniczych. Uważano go za niekwestionowany, prawdziwy autorytet nie tylko w dziedzinie prawa. Zasłynął także jako autor wielu publikacji, m. in. na temat etyki w wymiarze sprawiedliwości. Dopiero w kwietniu 1989 roku wyszła na jaw jego haniebna rola w procesie gen. Augusta Fieldorfa. Jako sędzia Sądu Najwyższego, wraz z dwoma innymi prawnikami, zatwierdził wyrok śmierci dla polskiego patrioty. Nawet nie zagłębili się w spreparowane przez UB materiały śledztwa, nawet nie przesłuchali niewinnie oskarżonego. Takie to było wtedy prawo, tacy to byli wtedy prawnicy, ich socjalistyczna sprawiedliwość i etyka, z takimi to wtedy autorytetami mieliśmy do czynienia. Od tego czasu upłynęło zaledwie 20 lat. Prof. Adam Strzembosz, w latach 80. współzałożyciel niezależnych od PZPR struktur związkowych w Ministerstwie Sprawiedliwości, późniejszy I Prezes Sądu Najwyższego, w roku

1990, przy okazji wywiadu, jakiego udzielał mi w związku z kandydowaniem na urząd prezydenta, zapewniał z przekonaniem, że ludzie wymiaru sprawiedliwości znajdą w sobie dość siły, by pozbyć się ze swojego grona ludzi skompromitowanych, że środowisko to potrafi włączyć się w demokratyczne przemiany i godnie kształtować praworządność w odzyskanym, suwerennym państwie. Na efekty tego procesu czekamy już 20 lat.

Najwięcej zainteresowania budzą wyroki sądów w sprawach karnych, kiedy sąd musi stanąć na straży zagrożonego życia i zdrowia. Często można odnieść wrażenie, że sąd okazuje się zbyt łagodny dla przestępcy, rzadziej, że jest zbyt surowy. Nie mniejsze zainteresowanie wzbudzają tzw. „pyskówki”, czyli sprawy o zniesławienie czy oszczerstwo, szczególnie, gdy dotyczą osób znanych z działalności publicznej.

A jak wygląda w praktyce przestrzeganie prawa, konkretnie art. 135 kodeksu karnego, w odniesieniu do prezydenta RP, który stanowi: „Kto publicznie znieważa prezydenta RP, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech”. Artykuł nie wymienia, o jakiego chodzi prezydenta. Chroni prezydenta Polski, osobę reprezentującą najwyższy urząd w państwie, reprezentanta narodu wybranego w wyniku powszechnych wyborów. W 1999 r. za napomknięcie o „tłustej d...” prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego grzywną w wysokości 3000 zł został ukarany Wojciech Cejrowski. Za znacznie bardziej obraźliwe słowa w stosunku do prezydenta Lecha Kaczyńskiego, bezdomny z dworca Centralnego Hubert H. został uwolniony od odpowiedzialności.

Sąd dopatrzył się „znikomej szkodliwości społecznej czynu”. Media, pełne współczucia dla Huberta H. za szykanowanie go ze strony prawa, dopatrywały się u prezydenta chęci zemsty, zapominając o tym, że stosowny przepis nie był wymysłem Lecha Kaczyńskiego, a ściganie tego typu przestępstwa leży w obowiązkach wymiaru sprawiedliwości. Od tego czasu trwa festiwal obrażania obecnie urzędującego prezydenta, przy pełnej tolerancji dla tego typu czynów ze strony wymiaru sprawiedliwości.

Umorzono śledztwo w sprawie tekstu w niemieckim piśmie „Die Tageszeitung” za nazwanie prezydenta kartoflem i znieważenie jego matki. Umorzono śledztwo w sprawie palikotowych oskarżeń prezydenta o nadużywanie alkoholu. Umorzono śledztwo w sprawie słów Lecha Wałęsy: „durnia mamy za prezydenta”. Sąd drugiej instancji, jednak jakby niepewny tego rozstrzygnięcia, skierował do Trybunału Konstytucyjnego zapytanie, czy karanie za tego typu słowa jest w zgodzie z wolnością słowa i prawami europejskimi. Żadnych wątpliwości nie miał Sąd Okręgowy w Warszawie, podtrzymując wcześniejsze umorzenie śledztwa w sprawie znieważenia prezydenta Lecha Kaczyńskiego przez posła Janusza Palikota. Wyrok jest prawomocny, dlatego każdy w Polsce, już bez groźby odpowiedzialności karnej, może nazywać urzędującego prezydenta „chamem”. Do podobnego wniosku musiała chyba dojść Prokuratura Okręgowa w Warszawie, umarżając z własnej inicjatywy śledztwo w sprawie znieważających

prezydenta Lecha Kaczyńskiego słów, tegoż samego posła Palikota, o „psychopatycznej postaci”.

Oczywiście niezawisłość sędziowska, czyli konstytucyjna zasada odrębności i niezależności wymiaru sprawiedliwości od władzy wykonawczej czy ustawodawczej nie jest niezawisłością od elementarnych zasad współżycia społecznego czy podstawowych norm etyczno-moralnych. Tak jak nie może być przyzwolenia na „róbta, co chceta”, tak nie powinno być zgody na „mówta, co chceta”, szczególnie w stosunku do osoby prezydenta, którego przestało już chronić, wciąż obowiązujące w Polsce prawo.

Wojciech Reszczyński

PS. A jak państwo sądzą, czym by się dla mnie skończyło nazwanie sędziego „chamem”?

Autor jest wicedyrektorem Informacyjnej Agencji Radiowej PR
„Nasz Dziennik” 12.02.09